

Wiwisekcja poety?

„Spacer do siebie” – to kolejny tomik **Stefana Jurkowskiego**, wydany z okazji 50-lecia debiutu poety związanego ze środowiskiem warszawskim. Autor debiutował bowiem w wieku 19 lat w roku 1967 na łamach „Kierunków”, a przez te 50 lat opublikował 17 tomów poezji. Jego dorobek artystyczny był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany: m.in. jest on laureatem Nagrody Młodych im. Włodzimierza Pietrzaka za tom „Wysokie lato” (1976), Wielkiego Lauru Poezji XV Międzynarodowej Jesieni Literackiej Pogorza (2005), czy „Złotej Książki Wincentego Róžańskiego” na Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu za najlepszy tom roku 2012. Omawiany zbiór poezji stanowi natomiast ciekawą, choć ryzykowną próbę poety, skierowaną na własny byt artystyczny. Można wręcz przyjąć, że ten zabieg Jurkowskiego stanowi pewien wgląd w swoje zwroty biograficzne, związane z rozwojem jego horyzontu inspiracji twórczych, choć z ironią często konstatuje, że z perspektywy osobistego doświadczenia pisarskiego niewiele się ważnego zdarzyło, poza tym, że ciągle jego wierną kochanką pozostaje sama poezja.

„Spacer do siebie” poeta rozpoczyna stwierdzeniem, że w późnym wieku miłość staje się bachantką z ironiczną maską na twarzy. Nawiązując do Jarosława Iwaszkiewicza, Jurkowski stara się ukazać świat przez pryzmat wędrówki po nim, ale i zwrotami z obranej drogi ku sobie w różnych okresach własnego życia. Świat współczesny jest zatem dla poety czymś na kształt Pompejów, które żyją w cieniu wulkanu, do którego z bojaźnią zagląda dusza poety. Pochyla się nad „stuletnim listem” i ogląda w nim autora, który jakby komentuje proroczo naszą współczesność. Poeta czuje, że jego język jest ciągle rozdwojony, przypominający język węży, gdyż słowa zawsze prowadzą ludzi w przeciwstawnych kierunkach, choć najczęściej i nieoczekiwanie spotykają się w „jednym znaczeniu”. W utworze pt. „Względność” czytamy: *słowa rozdwojone / – język węży – / w dwie strony mówimy // do dwóch różnych światów / biegniemy // a one są tym samym // choć domy różne / inne słońca / wokół / gorejące krzaki / w każdym z nich / inny bóg // cokolwiek nazywamy – / nazywa się inaczej // na końcach / rozdwojonego języka.*

Kiedy skierowuje wzrok na siebie, widzi twarz, ale czuje za nią swój niebyt, z którego coraz trudniej powrócić do siebie i potrzebna staje się do pomocy inna osoba. Świat staje się również coraz bardziej nieuchwytny, a jego sens najlepiej widać w milczeniu i wpatrywaniu się „w oczy zwierzęcia”. Jurkowski uświadamia sobie, że zabiera z sobą wrażliwość na ten świat, w kreowany przez niego poetyckich obrazach. Próbuje go odnajdywać w fotografiach z lat młodości, by spróbować zrozumieć sens dorosłego istnienia, ale w ten sposób przerywa „most do początków sie-

bie”. Rzeczywistość przecież szybko się zmienia, ludzie zastępują innych ludzi, i trudno zrozumieć sens świata w tych wariabilistycznych konstelacjach. Z wiekiem problematyczna staje się dla niego jego osobista „samość”, a „drwina nieistnienia” zniewala jego pamięć. Traci przekonanie, że on i świat faktycznie istnieją. Przechodzi bowiem przez kolejne miasta i generacji ludzi „na wylot”. Powstają więc tzw. „wiersze nienapisane” sygnalizujące możliwość pełnej „wolności twórczej”, choć u jej podłoża prześwituje pustka istnienia. Ludzie i dekoracje ulegają wokół ciągłym zmianom, a świat rodzi się od nowa, zaś reminiscencja pamięci zdziwionemu poecie odpowiada: *(...) młody człowiek / (...) / wychodzi z czarnego tunelu // pomiędzy teraz a wtedy – –*.

Widać tu dobrze tę próbę uchwycenia owego wariabilizmu, w który wmieszany jest autor i który chce go bezpośrednio uchwycić w tej „wędrówce ku sobie”. Przechadając się po „Alei platanowej” od początku świata aż do jego nieskończoności, poeta zauważa, że słowa teraz znaczą tyle samo co kiedyś. Słowa i ich konstelacje jednie tworzą „puste światy”, które wszystko zmieniają jakby w nieskończoność. Poeta uczestniczy więc w wielkim spektaklu unicestwiania kolejnych światów stworzonych przez innych artystów, a sam nieustannie czuje się „nienazwanym”, choć przez byt dotyka ogromnego, kreowanego przez literaturę wszechbycia. Z jego głębi dochodzi do niego wołanie, że jego powołanie to „bycie poetą zwalczającym” kolejne pustostwo o świecie i sobie. Zew ten momentami naładowany erotyzmem uprzytomnia mu również sens własnej twórczości wywołującej „płaczącą miłość” o sobie jako poecie. Śni o „łące” i „malinowym chruśniaku” Bolesława Leśmiana równocześnie czując gorset pętający jego słowne schematy poetyckie, ale i niewole „miejsca i czasu”, co uświadamia mu, że ten nasz świat mimo ton zapisanego papieru jest dalej nietrafnie nazwany.

Kiedy próbuje spoglądać w kosmiczne uniwersum, zarzucić tam jakąś sieć rozumiejących sens naszego istnienia w nim słów, szybko pojmuje, że zyliśmy i żyjemy w świecie tworząc wspólnoty, które budują dla naszego istnienia jedynie „wieczne dekoracje”. W tej kosmicznej perspektywie próbuje Jurkowski odnaleźć „beztroskie chwile”, które napełniają go jednak troską, bo szybko się orientuje, że „niewiele w nas nieśmiertelności”, a po śmierci prawie znikamy na zawsze wraz ze swymi ciałami, imionami, nazwiskami. Życie tak się układa, że ciągle i od nowa stajemy w początkach naszych światów, choć nasze miasta, ulice, domy i my sami jesteśmy tacy sami. Nasze zabiegi słowne – „słownienie” – daje nam złudzenie, że żadne „końce świata”, dziejące się wokół nas, nas samych nie dotyczą. Świat jest przesycony ludźmi, którzy wloką się za nami tłumnie – *jak wiersze które / umierają przed napisaniem / z przesytu – –*.

Właściwie metafizycznym doświadczeniem bycia poety w kosmosie jest dla niego jakiś „model inflacyjny”, który powoduje, że choć stoimy w miejscu, odpoczywamy po wyczerpującym dniu, nieustannie wydaje się

nam, że wszystko wokół nas dzieje się: że podróżujemy w nim „z prędkością światła”. Ciągłe jednak pozostajemy pod gwieździstą kopułą nieba na naszej, choć nieobiecanej, ale prawdziwej Ziemi. Cisza naszego kosmicznego istnienia jest jednak ciągle zatłoczona, ale jej gromobicie przepełnione krzykami jednie podkreśla naszą samotność. Podobnie jak poprzednie pokolenia czujemy się jak grymas „uśmiechającego się świata” do nas. Poetę ocalają w tym świecie słowa, które całe życie niesie na plecach jedynie po to, by przekazać je dalej innym. Jednak martwi go, że posługują się nimi inni, niemyślący, co pod znakiem zapytania stawia sens ocalenia poety, ale sądzi, że pisanie wierszy ma większą siłę niż rzucanie przed siebie słów, bo to one tworzą naszą współczesną „księgę Genesis”. Oazą ludzi jest bowiem tworzenie wspólnot z kropli przysłowiowego „deszczu” istnienia: one bowiem zapobiegają naszemu osamotnieniu, o którym nawet zapominają dzisiejsi bogowie i ślepe losy ludzi.

Choć poeta czuje się „bytem ranliwym” i nie lubi się pytać o przyczyny ludzkiego bólu istnienia. Widzi jednak ulgę w śmiechu, a nie w płaczu z naszych wyszukanych sposobów na istnienie od kolejnego początku, by „unicestwić kłamstwo nieistnienia”, wypisywane na urzędniczych, „chorych drogowskazach”, wyprowadzających „na bezdroża”. Przypomina, że często w naszej małości jest zawarta nasza wielkość, skutkująca zbliżaniem się do „milczącego piękna”, bo sami najlepiej znamy naszą miłość i łatwiej nam z nią żyć. Tą miłością dla poety jest – rzecz jasna – poezja, którą uwielbia tworzyć niezależnie i czuć się w jej szatach twórcą zupełnie wolnym po granice przysłowiowej apokalipsy. Jak robi się taką poezję chyba najlepiej opisuje Jurkowski w wierszu pt. „Miejsca” – pisząc: *widok z okna umiera / trafiony nieuważą / zamknięciem oczu / odwróceniem // widok z okna się rodzi / ten sam chociaż / zapowiada nową tajemnicę – / otwarcie oczu na // obraz / siadający niczym ptak / na parapecie.*

Z poezją bowiem jest tak, że rodzi się ona – sugeruje alegorycznie poeta – jak obraz malarski: między pędzlem a blejtralem, czyli między słowem a „nadzieją papieru”, by wyprowadzić artystę na „wiecznotrwałę” pola „zielonego pastwiska” egzystowania. Podsumowując te nasze rozważania o poezji Jurkowskiego nie trudno zauważyć, że pisząc, karmi się jednocześnie paradoksem własnego istnienia, bo zarówno tworzy i zarazem burzy, nie zamierza odpowiadać na żadne pytania: np. dlaczego? Sytuuje się względem świata jako obserwator jego nieustającego rozpadu, degradacji, ale i powstawania z niczego nowy alternatyw istnienia. Hołduje bowiem myśleniu przysłowiowych „religii księgi”, wedle którego zawsze na początku było słowo, które stawała się ciałem tylko po to, by ulec unicestwieniu.

To taki swoisty wariabilizm egzystencjalny, choć ciągle dotykający przysłowiowego „nicestwianego się bycia” kolejnych form bytów naszego świata, w którym poeta w duchu M. Heideggera i F. Hölderlina jakby uczestniczy, aż do momentu, w którym on i

(Dokończenie na stronie 18)